

*Maciej Howiecki*

## **POMIĘDZY WIEDZĄ A SUMIENIEM**

### **Refleksje o bioetyce**

Zacznę od przypomnienia. Oto jednym z pierwszych i głównych sukcesów biotechnologii był w latach 80. transfer genu odporności na herbicydy z bakterii *Salmonella* do genomu tytoniu. Nowa transgeniczna odmiana tytoniu stała się odporna na trucizny przeciwchwastowe. Informując o tym fakcie, jedno z pism (bardziej amerykański „Time”) napisało tak: „Gen z bardzo groźnej bakterii został wprowadzony do rośliny, która gwarantuje ludziom raka płuc. Wprowadzono go po to, by uodpornić tę zabójczą roślinę na trucizny służące do zabijania dziko rosnących kwiatów”.

Jest to alegoria początków biotechnologii postrzeganej przez laików. Bardzo gorzka i smutna ocena, charakterystyczna dla tamtych czasów, kiedy biotechnologia wzbudzała przede wszystkim skrajne postawy: jednocześnie przerażenie nowymi możliwościami i podziw dla tych możliwości. Wtedy bowiem uwierzono od razu, że otworzyła się droga do zwycięstwa nad głodem, chorobami i starością. Głód, choroby, starzenie się, krótkość życia – coś może być gorszego w kondycji ludzkiej? I to właśnie miało zniknąć.

Nauki biomedyczne, wszelkie inżynierie genetyczne i inżynieria embrionalna miały niedługo rozwiązać najważniejsze ludzkie problemy. Zwróćmy uwagę: pojęcie „inżynieria” w naukach biologicznych wnosi treść wyłącznie techniczną. Ma to znaczyć, że jeśli opanuje się właściwe technologie, rozwiązania będą takie, jak oczekiwano. Podobnie jak z konstrukcją nowoczesnych maszyn czy mostów.

Utopijne i w konsekwencji groźne i zbrodnicze systemy totalitarne uznały tzw. inżynierię społeczną za klucz do przebudowy społeczeństwa (a pisarzy nazywano „inżynierami dusz ludzkich...”). Świadomie negowano, że społeczeństwo jest czymś więcej niż konstrukcją techniczną, nie mówiąc już o duszy.

*Toutes proportions gardées*, ale podobnie u początków fascynacji biotechnologią nie brano pod uwagę, że coś, co jest żywe, lub co współtworzy życie, nie jest wyłącznie rodzajem konstrukcji technicznej. Tak oto doszliśmy do jednego z ważniejszych pytań nauki i filozofii: czym zatem jest? Czym jest życie?

Rozważania na ten temat zajęłyby cały czas, tym bardziej że wciąż nie ma dobrej odpowiedzi. Dla refleksji o bioetyce istotne jest takie stwierdzenie wyjściowe: struktury biologiczne są czymś więcej niż konstrukcją techniczną, wykonaną ze

specyficznych materiałów. Owo „coś więcej” to czynnik historyczny, ewolucyjny, oraz pewne właściwości tworzywa, niespotykane w konstrukcjach martwych. Te właściwości nazywano kiedyś *vis vitalis* – siłą życiową i taką koncepcję odrzuciła nowoczesna nauka. A jednak dziś znowu zaczęto wprowadzać „wrodzoną zdolność” pewnych wybranych układów fizykochemicznych – zdolność do autokreacji, samoorganizacji. Mówi się o jakimś rodzaju „ukrytego porządku”, który tkwi w tych układach i pcha je ku formom coraz bardziej uporządkowanym. Samodoskonalenie się martwej materii? Brzmi to, można by powiedzieć, metafizycznie – ale owa zdolność do przeciwstawiania się chaosowi i rozpadowi i do utrwalania zmian i samoreprodukcji zyskuje dość głębokie podstawy fizyczno-matematyczne. Swoją drogą to fascynujące: dlaczego w świecie w ogóle obserwujemy tak dużo porządku, pomimo powszechnego dążenia do nieporządku, głoszonego przez II zasadę termodynamiki?

Mamy pierwszy dylemat: czy poprawianie natury, jakim jest w gruncie rzeczy biomedycyna i biotechnologia, jest zgodne z owym porządkiem, jest jego wsparciem, czy przeciwnie – oznacza w ostatecznym efekcie zakłócenie wspierające chaos i rozpad? Jest to dylemat mimo wszystko zbyt abstrakcyjny, by ktokolwiek brał go poważnie pod uwagę. Tym bardziej że nie widać kryteriów naukowych, które pozwoliłyby zweryfikować którąś z hipotez. Zostawmy więc tę kwestię na boku, podobnie jak hipotezę, że życie jest po prostu zjawiskiem kosmicznym, a struktury zdolne do osiągnięcia poziomu życia zasiedliły kiedyś Ziemię, co zresztą na to samo wychodzi.

Niemniej pozostaje drugi dylemat, bardziej praktyczny. Nie wiemy, co pcha pewne struktury chemiczne do tego, by w pewnych warunkach stały się zdolne do wykorzystywania tkwiących w sobie (w swej strukturze) informacji i do reprodukcji tych informacji. Koncepcja jakiegoś planu czy porządku wprowadzonego przez Stwórcę nie wszystkim odpowiada i wedle dzisiejszych kryteriów nie jest naukowa.

Dylemat, o którym teraz mówię, polega na tym, że nie wiemy, jakie mogą być konsekwencje technicznego podejścia do struktur, które nie są maszynami i o których wciąż nie wiemy do końca, dlaczego tak działają. Być może żadnych konsekwencji nie będzie. Być może konsekwencje – rezultat naszej ingerencji – będą tylko dobre, bo poprawimy błędy natury. Równie prawdopodobny byłby przecież rezultat trzeci: złe (dla nas!) konsekwencje, ponieważ zmieniamy coś, czego do końca nie rozumiemy i w dodatku nie mieliśmy jeszcze wystarczająco dużo czasu, by uzyskać dane o kierunku zmian wywołanych ingerencją. Ba, nie wiemy przecież, czy coś, co my uznajemy za **błąd natury**, nie jest koniecznym elementem nadrzędnego porządku, jeśli ten porządek istnieje. W tym sensie to, co uważamy za błąd, mogłoby być potrzebne, nawet niezbędne. Można powiedzieć, że to już argumenty zbyt teoretyczne, jeśli nie wydumane, bo cały rozwój cywilizacji

opierał się na wprowadzaniu wynalazków i ulepszeń, których konsekwencji – pełnych – nie można było przewidzieć.

Musimy przyznać, że rozwój medycyny polegał na stosowaniu zabiegów i leków, których działania nie pojmowano albo rozumiano wręcz fałszywie. Nadto, tworzy się już struktury techniczne – komputery – zdolne do symulacji funkcji życiowych i nie mamy pewności, czy ta symulacja nie sięgnie niedługo poziomu samoświadomości. Czy wówczas zatrze się granica pomiędzy życiem i maszyną?

Tak więc, gdybyśmy chcieli zachować racjonalną ostrożność, nie byłby możliwy postęp nauki ani rozwój cywilizacji. W takim sensie ostrożność jest zabójcza dla innowacji. Z drugiej strony opór przeciw nowościom, zwłaszcza jeśli dotyczą zabiegów z ludzkim ciałem, istniał zawsze. Bo zawsze na początku wydawało się, że przekraczamy granice nieprzekraczalne, że coś ważnego bezczęścimy. Lękano się – jakbyśmy dziś powiedzieli – naruszenia integralności osoby ludzkiej. I tu trzy przykłady. Kiedy w 1796 r. Edward Jenner zaszczerpił człowieka przeciw ospie, posługując się okropną zawartością krost ospowych krowy, wielki Immanuel Kant napisał był oburzony: „Ludzkość redukuje się do poziomu zwierzęcego, zaszczerpia się jej bestialstwo”. Co by było, gdyby uwierzono Kantowi, a nie Jennerowi? Albo ataki na Ludwika Pasteura za jego „wszczepianie wściekliczny”. Albo wieloletnie zwalczanie transfuzji krwi (nb. francuskie prawo dopiero w 1952 r. zalegalizowało transfuzję. Niektóre wspólnoty religijne woła do dziś śmierć niż przetaczanie krwi).

W miarę poznawania organizmu ludzkiego obszar owej nienaruszalnej integralności ciągle się zmniejsza, a poszczególne narządy i tkanki ulegają swoistemu odczłowieczeniu. Wystarczy przypomnieć historię przeszczepów. W świecie roślin i zwierząt rolnictwo, uprawa, hodowla – czyli ingerencja z zewnątrz – pojawiła się u początków historii społeczeństw.

Doszliśmy do udowodnionej tezy: istnienie nieprzekraczalnych granic w nauce zależało od stanu samej nauki i stanu świadomości społecznej. Były to zatem granice dotąd ZMIENNE. Ale nasze pytanie brzmi: **czy będą zawsze zmienne?**

Jeszcze jedna teza, której można bronić, jest taka: postępu w nauce ani w technice nie da się zatrzymać i zawsze będzie dokonane (zrobione, wynalezione) to, co da się wykonać. Wątpliwości etyczne nigdy dotąd niczego w tej mierze nie zahamowały. Dla porządku znów przypomnę historię wyjątkową. Oto wielki uczyony francuski Jacques Testart („twórca” pierwszego we Francji „dziecka z próbówki” – dziewczynki Amandynki) zaproponował już w 1986 r. wstrzymanie badań w zakresie tzw. inżynierii embrionalnej i uczynił coś, co uczeni czynią bardzo rzadko: zrezygnował z własnych świetnie zapowiadających się badań w tej dziedzinie. „Przyszedł czas – powiedział w jednym z wywiadów – samoograniczenia się uczonych [...]. Uprzednio zapłodnienia *in vitro* miały ściśle określoną funkcję – było nią danie dziecka bezpłodnej matce. W przyszłości – którą już nadchodzi – będziemy próbowali wyprodukować dziecko o odpowiednich cechach, wedle określonej miary [...]. Żądam praw także dla logiki nieodkrywania, dla etyki niebada-

nia”. I jeszcze: „Przestańmy udawać, że same badania naukowe są neutralne, że tylko ich zastosowania mogą być dobre lub złe”<sup>1</sup>. Logika nieodkrywania, etyka niebadania – to coś zupełnie nowego, choć dziś zaczyna być stosowana wobec niektórych metod i niektórych obiektów.

Przyznam, że nie wiem, czy Testart ma rację. Takie założenie, jakie czyni, kryje w sobie groźbę, że mylnie interpretując niebezpieczeństwa, które może przynieść dany kierunek badań, zahamujemy coś (zrezygnujemy z czegoś), co właśnie mogłoby przynieść niewiarygodne dobrodziejstwa.

Motywacja Testarta prowadzi nas do idei programowania cech człowieka, tym bardziej że w ogóle pomysł ulepszania potomstwa jest zadziwiająco związany z psychiką *Homo sapiens*. Bardzo łatwo wyobrazić sobie pęd rodziców do ulepszania cech swego potomstwa. Pojęcie „ulepszanie” zawiera element wartościujący – będziemy mogli wybierać cechy, które naszym zdaniem są „najlepsze”. Najpierw mogą to być sprawy dość w końcu marginalne, np. rodzice wybiorą kolor oczu. Mogą to być sprawy istotne – ze względów zdrowotnych, ze względu na długowieczność, odporność, eliminację wad genetycznych itd. W końcu zacznie się brać pod uwagę względy ekonomiczne, społeczne, wreszcie... ideologiczne, a nawet i to, co wskaże moda.

Można w publicystycznym skrócie powiedzieć, że o ile przez wieki człowiek toczył swoistą grę z przyrodą (takie pojmowanie poznawania i tzw. podboju przyrody jest dopuszczalne), o tyle teraz zaczyna taką grę sam ze sobą. Nie bardzo wiemy, jakie są reguły tej gry, ani nawet, czy reguły istnieją. Argumentacja, co usiłowałem dowieść wcześniej, iż coś jest naturalne, a coś nie jest, nie daje się obronić, bo prawie i tak nie ma już w naszym świecie „czystej natury”, a my sami jesteśmy prawie sztuczni. Granice w świecie nauki – znów powtórzę – są zmienne, a nadto właśnie celem nauki jest przekraczanie granic. Nie wydaje się, by zakazy prawne mogły to zmienić, choć oczywiście ich istnienie jest niezbędne, bo pomagają uświadomić sobie, czego rozsądni ludzie nie chcą.

Większość uczonych i powołanych do działania w imieniu społeczeństw instytucji wypowiada się np. **przeciw klonowaniu ludzi**. Nie jest to tylko kwestia intuicji, choć przecież czujemy właśnie intuicyjnie, że klonowanie ludzi jest czymś innym niż klonowanie zwierząt i klonowanie samych ludzkich tkanek i narządów. Jest to kwestia pewnych najbardziej głębokich zasad moralnych i tylko na tym gruncie można podjąć dyskusję i szukać rozwiązań.

Doszedłem wreszcie do głównej tezy. Jest to teza, że **istnieją równoległe prawda naukowa i prawda moralna i ta pierwsza w świecie ludzi musi być podporządkowana tej drugiej**. Jeśli potrzebne są jeszcze przykłady zderzenia tych dwóch prawd (i dwóch horyzontów działania), to z obszaru biomedycyny

<sup>1</sup> Cyt, za: J. Testart, *Przejrzysta komórka*, PIW, Warszawa 1990.

można przywołać – powiedzmy – przeszczep głowy (mózgu człowieka), tworzenie jego tzw. genetycznego horoskopu, nie mówiąc już o „stosowaniu” embrionów ludzkich w leczeniu czy właśnie wspomnianym, genetycznym ulepszaniu gatunku *Homo sapiens*. „Polem zderzenia” obu prawd jest kwestia traktowania embrionów, zapłodnień pozaustrojowych, macierzyństw zastępczych, śmierci na żądanie, granica obowiązku utrzymywania przy życiu i tak dalej i dalej.

Zdumiewające, jak wiele tego rodzaju problemów współczesności pojawiło się w czasach bardzo dawnych, np. u Platona czy Owidiusza. Jak wiele starożytnych mitów zawierało w sobie nowoczesne pytania bioetyczne – np. opowieść o Chimery, Minotaurze, Asklepiosie, który wskrzeszał zmarłych, aż zabił go Zeus, bojąc się, że zostanie zakłócony porządek świata. Motyw tworzenia nowego człowieka z martwych składników przewija się w literaturze i sztuce przez cały czas, aż słynny Michał Bułhakow używa biotechnologii do ukrycia wielkiej satyry politycznej. Zwrócimy uwagę, że skoro podobne problemy dręczyły ludzi we wszystkich epokach, widać muszą należeć do jakichś podstawowych spraw kondycji ludzkiej.

Najwięcej takich spraw dotyczy, ze zrozumiałych względów, samego człowieka i zarazem najbardziej wyraźnie uwidacznia się bioetyka w perspektywie chrześcijańskiej. Oto garść cytatów, trochę długich, ale koniecznych. „Człowiek usiłuje zapewnić sobie całkowitą władzę nad kluczowymi wydarzeniami życia, może właśnie uciekając przed niepokojącymi go pytaniami i łudząc się, że dzięki absolutnej wolności zostanie panem swego losu. W ten sposób mógłby wreszcie urzeczywistnić odwieczne marzenie o samotworzeniu, wykluczając całkowicie niepewność, przypadek i tajemnicę. Widziane w takiej perspektywie normy moralne mogą się wydawać jedynie niezrozumiałymi ograniczeniami, narzucanymi przez irracjonalną obawę, podczas gdy rozum ludzki otwiera przed wolnością wspaniałe możliwości”. A jednak – stwierdza dalej kardynał Ratzinger – tylko normy oparte na Objawieniu (nie tylko na prawie, bo wtedy są wyrazem woli prawodawcy, który je ustanawia), normy oparte na pojęciu godności każdej osoby ludzkiej i sensie jej narodzin, życia, cierpienia i śmierci są w stanie nas uchronić przed traktowaniem ludzi jak rzeczy. „Życie ludzkie ma charakter sakralny, kto dotyka ludzkiego życia, wchodzi w dziedzinę zarezerwowaną dla Boga [...]. Sakralny charakter zakłada zobowiązanie etyczne, tj. wyklucza uprzedmiotowienie osoby, która nigdy nie stanie się rzeczą służącą innym celom poza nią samą – jest zawsze święta”<sup>2</sup>. Katechizm Kościoła Katolickiego stwierdza wprost: „życie ludzkie jest święte” (KKK 2258).

Kardynał Ratzinger dodał jeszcze jedno, o czym bioetycy nie zawsze pamiętają: „Sakralny charakter [życia] pociąga także zobowiązanie do profesjonalnego poziomu, poziomu sztuki – i sprzeciwia się wszelkiej szarlatanerii”. Lekceważenie wy-mogów nauki, specjalności zawodu, jest także głęboko sprzeczne z moralnością.

<sup>2</sup> Wystąpienie kard. Josepha Ratzingera podczas inauguracji Zespołu ds. Bioetyki w Rzymie roku 1991, publ. w: „Przegląd Powszechny” 1992, nr 3.

Rozumiem naturalnie, że sacrum osoby ludzkiej nie musi być zasadą przyjmowaną przez niechrześcijan, chodziło mi tylko o wyjaśnienie, dlaczego chrześcijaństwo bezwzględnie uznają istnienie granicy nieprzekraczalnej. My zaś możemy zastanawiać się, czy nauki bioetyczne dotarły może teraz do takiej granicy. Nie jest to „granica nieprzekraczalna” w rozumieniu wiary, bo oczywiście stale się ją przekracza, zresztą nie tylko w dziedzinie biotechnologii czy biomedycyny. Jest to raczej próg, bardzo istotny, po którym zaczyna się sterowanie własną ewolucją, nawet w ogóle ewolucją i który pozwala na tworzenie życia, nowych żywych istot i tak dalej. Istotnie, weszliśmy w kompetencje Boga. Zaczyna się, jak to ujął jeden z teologów, „śliskie zbocze”

W największym skrócie przypomnę pytania i problemy pojawiające się w związku z różnymi wydarzeniami w trakcie biegu po owym „śliskim zboczu” (będę się już trzymał tego określenia). Nadal więc w XXI wieku nie ma bezspornej definicji śmierci, czyli końca życia, ani jego początku osobniczego. Istnieją tylko definicje operacyjne, zmieniane w miarę postępu nauki, niekiedy umowne, arbitralne. Na przykład w raporcie Mary Warnock w sprawie sztucznej prokreacji w Wielkiej Brytanii 24 specjalistów prezentujących skrajnie różne poglądy na świat uzgodniło (przy 2 głosach sprzeciwu), że na ludzkich zygotach można prowadzić eksperymenty tylko do 14 dni od zapłodnienia. Na ogół jednak nie ma zgody na status prawny, moralny zygoty ludzkiej. Trwają spory o możliwość wykorzystywania ludzkich embrionów do eksperymentów biomedycznych. Trwają spory o status ciała - czy ciało jest „własnością” zmarłego, czy jego rodziny? Czy godzi się handlować narządami zmarłych albo tkankami płodów?

W 1975 r. Karen Quinlan zapadła w śpiączkę określaną oficjalnie jako „stan wegetatywny”. Po odłączeniu od respiratora zaczęła jednak oddychać. Odżywiają ją dojelitowo, zmarła po dziesięciu latach, w 1985 r. Literatura naukowa opisuje kilkanaście takich dobrze udokumentowanych przypadków, w tym kilka niewyjaśnionych medycznie przebudzeń, czyli wyjścia ze stanu wegetatywnego. W roku 2006 pojawiły się doniesienia, że w najgłębszym „stanie roślinnym”, przy płaskiej krzywej elektroencefalografu, pewne obszary mózgu jednak pracują, a człowiek-roślina odbiera bodźce, notuje pewne wydarzenia, i po przebudzeniu pamięta swoje lęki i wie, jak odnosili się do niego bliscy. Jeśli się to potwierdzi – odkryliśmy koszmar. Tym bardziej że nie ma możliwości trzymania przy życiu wegetatywnym wszystkich, którzy zapadli w ten stan.

Historia Terri Shiavo postawiła znowu w centrum uwagi kwestię arbitralności decyzji o cudzym życiu i śmierci. Nawiasem mówiąc, ta sprawa pokazała też jedną z twarzy mediów – mówiono wręcz o „medialnej pornografii śmierci”, gdyż agonię Terri z upodobaniem śledziły telewizje. Jak wiemy, sąd nakazał, by przestano żywić tę dziewczynę, pomimo iż płacili za to jej rodzice. Jedni uznali, że skazano ją na śmierć z głodu, inni – że pozwolono jej godnie umrzeć, uwolniono od „życia bez sensu”. Czy ktoś pamięta, że cała ta historia trwała 15 lat? Czy

można rozstrzygnąć, czy Terri była żywym człowiekiem w stanie wegetatywnym, czy też martwym człowiekiem żyjącym w „ciele roślinnym”?<sup>3</sup>

Kolejne kwestie sporne tylko przypominam: pierwsze „dziecko z próbówki” (Louise Brown, która sama ma już dziecko), problemy zapłodnienia pozaustrojowego, embryonów czekających (?) w zamrożeniu, matki zastępcze, babcie rodzące własne wnuki, wreszcie coraz konkretniejsze próby „ciąży w próbówce”.

Spory dotyczące klonowania obecnie przycichły, choć dylematy pozostały. Większość uczonych i moralistów jest przeciwna klonowaniu ludzi. Dlaczego? Nie ma przecież naukowych dowodów, że ludzki klon nie może być taką samą osobą ludzką, jak osoby powstałe „inną drogą”. Nie ma też zresztą dowodów, że może być przeciwnie i klon z racji zabiegów embrionalnych nie będzie normalnym człowiekiem. Może więc chodzi o coś innego niż dowody naukowe?

Diagnoza prenatalna: Czy można „eliminować” płody bądź noworodki z wadami, które im nie pozwolą „żyć po ludzku”? Czy można ratować za wszelką cenę kogoś, kto musi szybko umrzeć i przedtem cierpieć?

Eutanazja: Czy może istnieć prawo decydowania o cudzej śmierci, skoro cierpiący nie może podjąć decyzji? Czy prawo wyboru śmierci jest prawem człowieka do wolności? Dyskusja trwa, w praktyce zaś zakres stosowania eutanazji stale się zwiększa. Można przestawić dwa skrajne stanowiska. Pierwsze – prawo do życia każdej istoty ludzkiej bez względu na jej stan jest prawem naturalnym i prawem boskim i stanowi nieprzekraczalną zasadę moralną. Drugie – należy brać pod uwagę konkretne przypadki i oceniać użyteczność takiego czy innego rozstrzygnięcia; użyteczność nie tylko w sensie materialnym, ale w sensie „najlepszego wyjścia” dla danej osoby, jej bliskich i otoczenia.

Kolejne pole trudności: sterowanie świadomością. Przez wszczepienie do mózgu odpowiednich urządzeń nanotechnologii można totalnie kontrolować zachowanie człowieka. Aparaty do odczytywania myśli mogą skutecznie poprawić jakość życia sparaliżowanym, ale mogą też być użyte do celów antyludzkich.

Ingerencja w genom przynosi najwięcej nadziei i zarazem najwięcej zagrożeń. Skoro geny w ogromnym stopniu odpowiadają „za wszystko” – m.in. za wyższe uczucia, inteligencję, emocje, wiarę – wszystko też można zakłócić. Nie znamy ciągle rozmiarów ryzyka ingerencji w ludzki genom. Z drugiej strony nie można pozbyć się tak skutecznego narzędzia poprawy losu chorych i starych.

Nie ma również pewności, jakie może być ryzyko ingerencji genetycznej na szczeblu wirusów, bakterii, roślin i zwierząt. Istotne staje się pytanie, czy skutki takiej ingerencji zależą od jej rozmiarów, czy od czegoś jeszcze? Do czego może

---

<sup>3</sup> W 2009 r. głośna była sprawa Włoszki Eluany Englaro, która zapadła w śpiączkę po wypadku w 1992 r. Odłączono ją od aparatury utrzymującej odżywianie po 17 latach, wkrótce zmarła. Ciekawe, że w dyskusji potem powtórzono wszystkie te same argumenty za i przeciw, jakie od lat się podnosi.

prowadzić łączenie genów ludzko-roślinno-zwierzęcych? Czy nie utracimy w ten sposób kontroli nad biosferą w innym jeszcze wymiarze, niż ja tracimy dotąd?

Do sfery bioetyki należy problem traktowania zwierząt w ogóle – i co do tego nie ma wątpliwości. Czy jednak powinno się zmienić relacje ludzi w tymi zwierzętami, które niewątpliwie wedle najnowszych badań wykazują załączki świadomości typu ludzkiego, jak np. delfiny, słonie, wyższe małpy, ba – nawet świnię czy niektóre ptaki, a zresztą wiele, wiele innych, nawet tak odległych od nas jak morskie głowonogi, ośmiornice itp. Zresztą okazuje się, że pomiędzy zwierzętami i ludźmi różnice są mniejsze, niż sądzono, a lęk, stres i ból – czyli cierpienie – łączy nas jak najbardziej. Sprawa zwierzęcego cierpienia pozostaje wciąż wielkim moralnym obciążeniem ludzkości.

Kwestii bioetycznych można wymienić jeszcze wiele. Nie chodzi jednak teraz o ich przegląd. Chodzi o to, by zdać sobie sprawę, jak wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi i jak bardzo mógłby się zmienić świat i kondycja jego żywych mieszkańców, gdyby znaleziono wyraźne odpowiedzi.

Bioetykę zwykło się ostatnio dzielić na trzy główne opcje czy sfery. Tak więc mówi się o BIOETYCE CZERWONEJ. Jej symbolem jest krew – hemoglobina, a jej zasady dotyczą przede wszystkim sfery biomedycznej i ingerencji w organizmy ludzi, czyli stosunek ludzi do ludzi.

Jest BIOETYKA ZIELONA. Jej symbolem jest zielony liść, chlorofil i jej zasady dotyczą traktowania całej biosfery.

Wreszcie istnieje BIOETYKA PRZYSZŁOŚCI. Jej zasady miałyby dotyczyć ochrony przyszłych pokoleń i tego, co im po sobie zostawimy. Refleksja dotyczy pytania, czy mamy jakieś obowiązki moralne wobec przyszłych pokoleń i jeśli tak, jakie są to obowiązki? Przy tym nie wystarczą już banały w rodzaju, że nie wolno zatruć do końca środowiska czy niszczyć gatunków, bo to się wydaje oczywiste. Mniej oczywiste – czy da się coś ocalić, choć takie próby podejmujemy.

Dylemat jest głębszy: czy nasza nieograniczona chęć zaspokajania doraźnych potrzeb i zrozumiałej eliminacji cierpienia w ogóle nie jest sama w sobie sprzeczna z przyszłymi potrzebami gatunku, biosfery, planety? Czy można w ogóle te obie potrzeby pogodzić?

Można stwierdzić przynajmniej jedno. Jeśli chce się je pogodzić, trzeba kontrolować wiele poczynąń, a wśród nich również poczynania biotechnologii.

Wracam do refleksji ogólniejszych. Znamy główne pytania, „śliskie zbocza”, znamy różne stanowiska wobec różnych poczynąń. Stanowisko chrześcijańskie jest najbardziej wyraziste i najtrudniejsze. Czy możliwe jest takie ujęcie, które mogłoby być rozważane przez niechrześcijan, a dla chrześcijan nie będzie herezją?

Przyjrzyjmy się pogładowi, wedle którego wszystkie argumenty za i przeciw (w zakresie tego, co przywykło się nazywać inżynierią genetyczną, inżynierią embrionalną czy biotechniczną) muszą ustąpić wobec zasadniczego, pierwotnego wyboru. Jest to wybór nieuchronny i dotyczy zresztą nie tylko problemów biome-



dycznych; ośmielę się twierdzić, że dotyczy wręcz wszystkiego, co ma w życiu prawdziwe znaczenie!

Jest to, krótko mówiąc, wybór między czymś, co można nazwać „etosem ułatwiania”, a czymś, co można nazwać „etosem granicy” (lub może „etosem odpowiedzialności”).

**Etos ułatwiania** oznacza uznanie za podstawę ludzkich działań tego wszystkiego, co ułatwia życie w najszerszym tego słowa znaczeniu i co właśnie z tego powodu staje się nie tylko dopuszczalne, ale i pożądane za wszelką cenę. W tym sensie ułatwianie staje się wartością najwyższą, wyższą od odpowiedzialności. Jest to postawa bliska utylityzmowi, ale nie całkowicie z nią tożsama, bo nie chodzi tylko o korzyści praktyczne i oczywiste.

**Etos granicy** miałby być po prostu uznaniem, iż w działaniach ludzi istnieją nieprzekraczalne granice i że nie wolno ich przekraczać nawet wówczas, kiedy mniemamy, iż takie przekroczenie przyczyni się do postępu czegokolwiek, do czyjegós szczęścia, do zmniejszenia sumy nieszczęścia, nie mówiąc już o ułatwianiu życia.

Jeśli zatem kierujemy się „zasadą ułatwiania”, dopuszczalne stają się eksperymenty na ludzkich zarodkach (skoro przyczyniają się do rozwoju medycyny i terapii), dopuszczalna jest eutanazja, skoro ma ułatwić godną śmierć, dopuszczalne są np. ograniczenia w leczeniu ludzi starych i nieproduktywnych, skoro ułatwi to ratowane młodych i produktywnych, dopuszczalne jest... Dajmy spokój wyliczaniu! Istota sprawy polega przecież na tym, iż mamy do rozwiązania dylematy rzeczywiste, a nie pozorne i że „etos ułatwiania” wabi racjonalnością – stoją za nim racje ekspertów i naukowo uzasadnione motywy (a także i zwłaszcza – żądania wielu ludzi).

Brzmi to może dość surowo. Ojciec Jacek Salij, znany dominikanin, zwrócił mi kiedyś uwagę, że należy odróżnić „etos granicy doktrynalnej” od „etosu granicy miłości”. Wydaje mi się to bardzo ważne i właśnie chrześcijańskie. Jak na razie przecież motywy biotechnologii i biomedycyny nie wydają się zbyt zbieżne z „etosem miłości”.

Wydaje się ważna jeszcze jedna okoliczność, stale się tutaj przewijająca. Zwolennicy „etosu granicy” mogą się mylić w określaniu tej granicy i zapewne czasem się mylą. Nie jest bowiem łatwo ustalić tego rodzaju granice – inaczej zbyt cenna byłaby może cała dyskusja na ten temat. Ale fakt istnienia wielkich trudności i omyłek nie oznacza, iż granice nie istnieją albo że można znaleźć coś pośredniego pomiędzy „ułatwianiem” a „granicą” (nawet uwzględniając „zasadę miłości” w konkretnych przypadkach). Wobec tego myślę, że jednak skazani jesteśmy na wybór.

Jest to wybór tym trudniejszy, że nie mamy do czynienia zawsze z oczywistym złem i oczywistym dobrem. Musimy wybierać najczęściej pomiędzy wartościami konfliktowymi (takie pojęcie wprowadziła prof. Maria Ossowska, twierdząc zresztą, że dla każdej wartości można znaleźć wartość konfliktową).

Ograniczenia na przykład w pozyskiwaniu komórek macierzystych prowadzą do ochrony embrionów ludzkich, ale zarazem utrudniają zwalczanie pewnych chorób. Wyjściem jest oczywiście znalezienie innego źródła takich komórek i jakby pogodzenie wartości konfliktowych. „Pogodzenie” tych wartości albo jakiś kompromis zachowujący to, co w nich najistotniejsze.

Niewątpliwie nauka i technika doszły do punktu, w którym można będzie programować nowe całkiem istoty i nowe – wykształcone nieewolucyjnie – relacje między nimi. Może to być kapusta produkująca leki dla ludzi lub świnka dająca nam narządy zastępcze. Może być piesek dowolnej wielkości i kształtu, np. ratlerka wielkości doga i dog mniejszy od ratlerka – co już się właśnie dokonało. Może też być nowy gatunek człowieka, a nawet człekozwierzęcia.

Ostatnio uczeni brytyjscy zwrócili się o zgodę na stworzenie hybrydy człowieka i krowy – na razie na poziomie embrionu<sup>4</sup>. Taki eksperyment (przypominam mit o Minotaurze!) pomoże zwalczać choroby neurodegeneratywne (takie jak choroba Parkinsona czy Alzheimera). Zgodę (lub nie) miałby wydać Urząd Zjednoczonego Królestwa ds. Zapłodnienia i Embriologii Człowieka (*United Kingdom's Human Fertilisation and Embryology Authority*). To klasyczny przykład wyboru między wartościami antagonistycznymi. Ponadto o zgodę do urzędów muszą się zwracać naukowe instytucje publiczne, bo nie dostaną grantów. Instytucje prywatne nie muszą.

Jedno jest pewne: te same metody i techniki prowadzą do bardzo różnych celów, cele zaś mogą być zawsze dobre albo złe, albo nieznanne z góry. Wszelkie prawa natury można już przechytrzyć, wszelkie granice ingerencji są kwestią umowy. Nie pozostaje nic innego, jak wprowadzić zasady etyczne, których podstawowy kanon wspólnie się uzna. Ale, być może, nie wszyscy i nie do końca zechcą uznać taki kanon. Pozostaje w końcu własne sumienie – niematerialna wartość spoza nauki, niemożliwa do zdefiniowania – niemniej jednak, jak zawsze, tylko ono właśnie pozostaje jako drogowskaz.

---

<sup>4</sup> W Wielkiej Brytanii ustawa „The Human Fertilisation and Embryology Bill” już legalizuje tworzenie hybryd zwierzęco-ludzkich.